

Agnieszka Dauksza

"Którzyśmy serca swoje jedli i krew swoją pili" : cielesność w twórczości Wisławy Szymborskiej

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (125), 213-225

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Agnieszka DAUKSZA

„Którzyśmy serca swoje jedli i krew swoją pili”¹ Cieleśność w twórczości Wisławy Szymborskiej

Poezja Wisławy Szymborskiej jedynie pozornie uchodzić może za „bezcieleśną”. Bardziej wnikliwa lektura dowodzi, iż refleksja nad cieleśnością, choć częstokroć jedynie subtelnie sygnalizowana, stanowi niezwykle istotny składnik wyobraźni poetyckiej Noblistki. Istotny i chyba niedoceniony, zważywszy na brak analiz wyczerpująco wyjaśniających tę kwestię. Tym bardziej warto – choć w przybliżeniu – odtworzyć złożoną i wielobarwną opowieść Szymborskiej o ciele.

Zwierzęce ciało nieskończonych możliwości

Jednym z najważniejszych elementów rozważań nad cieleśnością w poezji Szymborskiej jest anatomia zwierzęca. Specyficzna o tyle, iż nie zdająca się ani powtórką lekcji biologii, ani pogłosem bezpośredniej lektury anatomicznego atlasu. Jeśli już, byłaby to lektura dość frywolna, wyczulona na przyrodnicze osobliwości, lubująca się w szczególności, doceniająca zgrabną rycinę. Szymborskiej czytanie leksykonów to czytanie ze skłonnością do wariacji: czasami przypomina pospieszne

¹ W. Szymborska *Jaskinia*, w: *Sto pociech*, PIW, Warszawa 1967, s. 55. Kolejne cytaty z utworów Wisławy Szymborskiej, tutaj przytaczane, lokalizowane są następująco: *Wołanie do Yeti*, WL, Kraków 1957 – WY; *Sól*, PIW, Warszawa 1962 – S; *Sto pociech* – SP; *Wszelki wypadek*, Czytelnik, Warszawa 1972 – WW; *Wielka liczba*, Czytelnik, Warszawa 1976 – WL; *Łudzie na moście*, Czytelnik, Warszawa 1986 – LM; *Koniec i początek*, a5, Poznań 1993 – KP; *Chwila*, Znak, Kraków 2002 – Ch; *Dwukropek*, a5, Kraków 2005 – D; *Tutaj*, Znak, Kraków 2009 – T; *Lektury nadobowiązkowe*, WL, Kraków 1996 – LN; *Nowe lektury nadobowiązkowe* – NLN, WL, Kraków 2002.

Interpretacje

kartkowanie, podczas którego słowa i obrazy nakładają się na siebie, uwidaczniając się następnie w utworach w postaci wielobarwnych mozaik zadziwiających swą migotliwą złożonością, kiedy indziej przybiera formę niezwykle wnikliwej analizy podpartej refleksją niespiesznego czytelnika. Anatomia zwierzęca w poezji Noblistki ukazana jest na ogół z uwzględnieniem pełnej dynamiki przemian i nieodmiennie nawiązuje do darwinowskiej teorii ewolucji. Świat zwierząt nigdy nie jest światem skończonym i gotowym, lecz nieustannie ewoluuje, zmienia się i przekształca. Ogarnięcie różnorodności nie jest możliwe, ponawiane są jednak próby rejestrowania tychże zmian. Należy podkreślić, iż właśnie nieuchwytność fascynuje poetkę najbardziej – ciało zwierzęce, rozumiane jako efekt procesów trwających miliony lat, jawi się jej jako ciało zaskakujące, ciało nieskończonych możliwości. Każdy pojedynczy organizm jest więc nie tylko wytworem metamorfozy, ale też w pewien sposób jej kontynuacją i świadectwem, żywym zapisem.

Zwierzęce ciało nieskończonych możliwości to w twórczości Szymborskiej ciało niemalże doskonałe. Nie jest to zazwyczaj cielesność konkretna, jednostkowa, lecz cielesność w całej wielości form stwarzanych przez naturę. Zachwycają posiadacze „arcypazurków”, „płetw z głębi dewonu a piersi z aluwium”, „ramion nie zamiast, ale oprócz skrzydeł”, „dłoni palczastych a u nóg kopytek”. Wszelkie „zlepki, zrostki, składanki-cacanki” (*Tomasz Mann*, SP, s. 58) zasługują na pochwałę nie tylko ze względu na kunstz wykonania – „budowa rzetelnych chrząstek i sumiennych błon, / dorzeczca serca, labiryntu jelit, / nawy żeber i kręgow w świetnej amfiladzie” (*Przylot*, SP, s. 44) – lecz także, a może przede wszystkim, ze względu na swe wielorakie funkcje.

Trzeba wreszcie podkreślić, że zwierzęce ciało „tkanka po tkance związane” w „misterną „wspólność”, nieprzeliczone, acz pojedyncze, wywyższone jest głównie dlatego, iż tak bardzo różni się od ciała ludzkiego. Zachowało bowiem właściwości i umiejętności nieosiągalne dla człowieka. Istota ludzka tylko w marzeniach roi sobie, iż „fruwa, jak się powinno, / czyli sama z siebie. Spadając z dachu / umie spaść miękko w zielone” i „nie jest jej trudno oddychać pod wodą” (*Pochwała snów*, WW, s. 40). W rzeczywistości, świadoma swych ograniczeń, odczuwa tęsknotę za różnorodnością, gdyż ciało ludzkie, w odróżnieniu od ciała zwierzęcego, okazuje się pułapką, więzieniem, powłoką zawiedzionych nadziei. „Mam ciało pojedyncze, nieprzemienne w nic, jestem jednorazowa aż do szpiku kości” – wyznaje persona liryczna i nie sposób nie wyczuć w tym stwierdzeniu nuty zawodu, żalu, ale także zaskoczenia: „sama się sobie dziwię, jak mało ze mnie zostało: / pojedyncza osoba w ludzkim chwilowo rodzaju” (*Przemówienie w biurze znalezionych rzeczy*, WW, s. 27). Zdumienie nie jest bezpodstawne („jestem kim jestem / niepojęty przypadek”), szczególnie jeśli rozważyć całą gamę potencjalnych form („w garderobie natury jest kostiumów sporo”). I choć oczywista jest konieczność pogodzenia się ze stanem rzeczy („Każdy [kostium] od razu pasuje jak ulał i noszony jest posłusznie aż do zdercia. Ja też nie wybierałam, ale nie narzekam”), to jednak w kolejnych wierszach uporczywie powraca sugestia, iż ciało ludzkie jest wybra-kowane, zdekompletowane, w procesie ewolucji pozbawione wszelkich fantazyj-

Dauksza „Którzyśmy serca swoje jedli i krew swoją pili”

nych „naddatków”: „Nie wiem nawet dokładnie, gdzie zostawiłam pazury, / kto chodzi w moim futrze, kto mieszka w mojej skorupie. / Pomarło mi rodzeństwo, kiedy wypelzłam na ląd i tylko któraś kostka świętuje we mnie rocznicę. / Wyskakiwałam ze skóry, trwoniłam kręgi i nogi, / odchodziłam od zmysłów bardzo dużo razy” (*Przemówienie w biurze znalezionych rzeczy*, WW, s. 27). W efekcie człowiek zdaje się być wytworem dalece niedoskonałym, nieporadnym, „za mało nawet śmiesznym, żeby pustkę śmieszyć”, bo „oczami tylko widzącym, uszami tylko słyszającym” (*Sto pociech*, SP, s. 58). Podobny ton pobrzmiewa zresztą w *Lekturach nadobowiązkowych*: „Ile to gatunków prawie natychmiast po urodzeniu wykazuje zdolność do samodzielnego życia tylko dzięki aparaturze nerwowej, o której nawet marzyć nam trudno. Natura pozbawiła nas tysiąca cudownych właściwości [...] Każdy instynkt wydaje mi się godny zazdrości” (LN, s. 19).

Z tej perspektywy całość procesów biologicznych składających się na rozwój istoty ludzkiej wydaje się wysoce niesprawiedliwa i w gruncie rzeczy przypadkowa („dzieło przypadku, / jak mówią niektórzy / [...] rozsunięta do wieków / przestrzeń porównania / wywabiła nas z wnętrza gatunku, / [...] obróciła naszą głowę w ludzką, / [...] i to, co nie ma powiek, otworzyła w nas” (*Notatka*, S, s. 53)). Wszak zatrwająca liczba „krewnych naszych po kądzieli” (*Żywy*, SP, s. 19), braci wyrosłych z preciała, skutecznie oparła się zgubnym przekształceniom, można by nawet rzec – okaleczeniu. Toteż świadomość ograniczeń człowieka – „marnego wyrodka kryształu” (*Sto pociech*, SP, s. 58) – boli tym bardziej. Wyomne okazuje się zestawienie obrazów efektownego, swobodnego ptasiego lotu i trwożliwych popisów akrobaty. Ptak, „anioł z prawdziwego białka, / latawiec o gruczołach z pieśni nad pieśniami” jest wirtuozem „wszechrzemiosł”, w naturalny sposób łączy „miejsca i czas jak sztuka klasyczna” (*Przylot*, SP, s. 44). Akrobata natomiast „mozołnie lekko, / z cierpliwą zwinnością, / w wyrachowanym natchnieniu” przesywa „zdumione powietrze”. „Sam, albo jeszcze mniej niż sam, / mniej, bo ułomny, bo mu brak, / brak skrzydeł, brak mu bardzo, / brak, który go zmusza / do wstydliwych przefrunięć na nieupierzonej / już tylko nagiej uwadze”. Owe poczucie braku zmusza do rozpaczliwych zmagania z własnym ciałem: „Czy widzisz, / jak on się czai do lotu, czy wiesz, / jak on spiskuje od głowy do stóp / przeciw takiemu, jakim jest, czy wiesz, czy widzisz, / jak chytrze się przez dawny kształt przewleka i / żeby pochwycić w garść rozkołysany świat / nowo zrodzone z siebie wyciąga ramiona” (*Akrobata*, SP, s. 51). Próba przekroczenia siebie, oszukania i prześcignięcia własnego zubożonego ciała jest niczym innym, jak prymarną potrzebą przemiany, tęsknotą za wielością, nieprzebrany bogactwem form. Jest to także tęsknota za swobodną i nieskrępowaną bliskością natury, być może chęcią wyzwolenia z więzów kultury. Ale nie tylko. To, co w poezji Szymborskiej jedynie zasygnalizowane, z całą mocą ujawnia się w jej felietonach: „Przypomina mi się dawny szkolny znajomy, pierwotniak pantofelek. Cóż za pomysły miała pierwotnie natura! Stwarzała coś, co żyje, ale ani się porządnie nie rodzi, ani obowiązkowo umiera. Można by sądzić, że pantofelek oraz jemu podobne żyjątka dość jeszcze poufale ocierają się o nieśmiertelność. Z so-

Interpretacje

bie tylko znanych powodów ewolucja istot żywych zaczęła się oddalać od swojego pierwotnego konceptu i przeszła na produkcję śmiertelników” (LN, s. 157). Zatem zwierzęcy, najpierwotniejszy nawet organizm godny jest zazdrości i podziwu, także dzięki zdolnościom odradzania się, dzielenia, rekonstruowania zupełnie niedostępnym jednorazowemu ciału ludzkiemu.

Zastanawia jednak, z jaką łatwością zapomina człowiek o tym dawnym podobieństwie. Z nieuzasadnioną pychą odnosi się do swych starych krewnych („proszę zwrócić uwagę na tę śmieszna główkę – / Panie, Panowie / taka główka niczego nie mogła przewidzieć / i dlatego jest główką wymarłego gada / [...] Pod tym względem jesteśmy w dużo lepszej formie, / życie jest piękne i ziemia jest nasza” (*Szkielet jaszczura*, WW, s. 23) i z nieznaną litości upodobaniem wyniszcza dziedzictwo natury („ja tarsjusz [...] cudownie ocalony od dalszej przeróbki, / bo przysmak ze mnie żaden, / na kołnierz są więksi, / gruczoły moje nie przynoszą szczęścia, / koncerty odbywają się bez moich jelit” (*Tarsjusz*, SP, s. 47). Z pewnością dążenie do zawładnięcia królestwem zwierząt powodowane jest chęcią kontrolowania tego, co nieokiełznane i nieprzeliczone. Poczucie wyższości i pragnienie dominacji nie są jednak uzasadnione, nie wiadomo bowiem, jak długo potrwa człowiecze jedynowładztwo w świecie przyrody. Tak jak podlegające nieustannym przemianom ciało zwierzęce nigdy nie było „ostatecznym produktem” natury, tak ciało ludzkie także może być jedynie kolejnym stadium rozwoju, które z konieczności ulegać będzie dalszym przekształceniom („Niechby się wreszcie z grubsza okazało, / czym będzie, skoro jest” (*Sto pociech*, SP, s. 58). Tym cenniejsza zdaje się więc refleksja: „Ubyliśmy zwierzętom. / Kto ubędzie nam. / Przez jakie podobieństwo. / Czego z czym porównanie” (*Notatka*, S, s. 53).

„Od urodzenia w poźegnalnych ciałach”

Niezwykle ważny jest dla istoty ludzkiej moment spektakularnego przejścia z „brzucha matki, / zza siedmiu skór, z obronnej ciemności” (*Powroty*, WW, s. 20) „na świat, na niewieczność”, kiedy to dobywa się długo wyczekiwany, bezbronny „przybysz z głębin ciała”. W tej właśnie chwili, lub może jeszcze wcześniej, w okresie prenatalnym, gdy nowe istnienie przyoblekane jest w ciało, pochwycone w skórę, przywiązane do kości (*Urodzony*, SP, s. 21), nieodmiennie wszystko się przesądza, bowiem odtąd nowo zrodzone samym sobą spłacać będzie dług na śmierć i życie.

Cieleśność w tym ujęciu nie jest czymś danym, trwałym i bezpiecznym, lecz pozostaje w stanie nieustannego zagrożenia. Zarówno przez wspomnianą wcześniej ewolucyjną ciągłość przemian, jak i destrukcję wynikającą z wszelkich mechanizmów i procesów wpisanych w ludzkie życie. O ile ta pierwsza zdaje się z perspektywy jednostki dość abstrakcyjna, często nawet pozostaje nieuświadomiona, o tyle druga, w całej swej mnogości przejawów, odczuwana jest na własnej skórze dosłownie przez każdego (nie tylko przez człowieka, ale każdy złożony organizm: „Chodzę po świecie / w tłumie innych dłużników. / Na jednych ciąży przymus / spłaty skrzydeł. / Drudzy chcąc nie chcąc rozliczą się z liści”) (*Nic darowane*, KP, s. 34).

Dauksza „Którzyśmy serca swoje jedli i krew swoją pili”

W rezultacie istota ludzka aż do końca pozostaje bezbronna i bezdomna, w swoim ciele sobie samej obca. Jak bowiem mogłaby się zadomowić, skoro jej powłoka jest tak nietrwała, tymczasowa i nigdy dana na własność („żadnej rzęski, szypułki / do zachowania na zawsze”, „nic darowane, wszystko pożyczone”). Życie jawi się więc jako spłacanie pożyczki pod zastaw ciała i jest procesem odwrotnym do kształtowania się płodu – rozwój listków zarodkowych przeciwstawiony zostaje utracie kolejnych narządów: „Tak to już urządzone, / że serce do zwrotu / i wątroba do zwrotu / i każdy palec z osobna. / [...] Długi będą ściągnięte ze mnie / wraz ze skórą” (*Nic darowane*, KP, s. 34).

Co ciekawe, analogicznemu procesowi rozpadu czy właściwie „rozcłódkowaniu” i powrotowi do pierwotnej substancji ulega grecki posąg i choć zniszczeniu podlega każda substancja materialna, to jednak w tym kontekście szczególnego znaczenia nabiera biblijna fraza: „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”: „nie-żle się przy nim napracował czas. „Najpierw pozbawił nosa, później genitaliów, / kolejno palców u nóg i u stóp, / pleców i bioder, głowy i pośladków, / a to, co już odpadło, rozbijał na części, / na gruz, na żwir, na piasek” (*Grecki posąg*, D, s. 35).

Podobnie jak w przypadku żywego ciała, to, co ocalało od rozpadu, przykuwa szczególną uwagę i najdobitniej świadczy o utraconym: „zachował się tors i jest jak wstrzymywany przy wysiłku oddech, ponieważ musi teraz przyciągać do siebie cały wdzięk i powagę utraconej reszty”. Jednak ciało ludzkie, w przeciwieństwie do marmurowych posągów, które „giną białe”, z natury „niszczy się brzydko” (*Wersja wydarzeń*, KP, s. 36), jest „bolesne / [...] wije się, szarpie i wrywa, / sinieje, puchnie, ślini się i broczy” (*Tortury*, LM, s. 28). Niezależnie od czasu, ustroju, szerokości geograficznej jest kruche, bezbronne, mało wytrzymałe. Torturowane cierpi, „drży jak drżało”, „ścięte z nóg pada, podkurcza kolana” (tamże) i nawet niedoprowadzane do ostateczności „jeść musi i oddychać powietrzem, i spać”, a nade wszystko podlegać „tyranii gruczołów” (*Wersja wydarzeń*, KP, s. 36).

Choć organizm człowieka, porównywany do zwierzęcego ciała nieskończonych możliwości, okazywał się rozczarowująco przewidywalny, zniszczalny i jednorazowy, choć już w momencie narodzin skazywał swego posiadacza na „powszechny wyrok” (*Urodzony*, SP, s. 21), to jednak wedle sugestii Noblistki nie powinien być on z pewnych względów obiektem wzgardy. Cieleśność w ujęciu Szymborskiej pojmowana jest bowiem dwojako. Sfera zewnętrzności (najbardziej narażona na działanie bodźców), a także to, co przynależne sferze zmysłów, traktowane są z pewnym pobłażaniem jako wysoce niedoskonałe i zawodne, natomiast to, co wewnętrzne, głęboko skryte „w ciemnościach pod skórą” (*Niebo*, KP, s. 5), funkcjonujące ze zdumiewającą precyzją, zasługuje na szczególną uwagę. Okazuje się, że pod cielesną powłoką odnaleźć można namiastkę wytęsknionej, z pozoru utraconej na przełomie milionów lat zadziwiającej różnorodności. Jej świadectwem nie jest jednak bezpośredni wgląd w ludzki organizm. Spojrzenie poetki nie jest inwazyjne, nie usiłuje przedzierać się przez kolejne warstwy ciała. Zamiast przecinać tkanki chirurgicznym skalpelem,

Interpretacje

Szyborska „prześwietla” ciało, uzyskując wyobrażenie całości. Wnętrznosci nigdy nie przypominają odrażających bebechów, narządy prezentowane są ze względu na swą funkcjonalność, a nie ich właściwości, brak jakichkolwiek naturalistycznych opisów. Wnętrze organizmu przypomina raczej plastikowy model pomocny w nauce anatomii niż wypełnione bulgocącymi płynami, żywe, pulsujące mięso. Rezultatem takiego oglądu jest zdystansowana relacja, przypominająca bardziej wypis z anatomicznego atlasu niż poetycką, wysoce zmetaforyzowaną wizję. Pojawiają się nawet konkretne medyczne dane: „Ten człowiek na ziemi. / Dziesięć miliardów komórek nerwowych. / Pięć litrów krwi na trzysta gram serca. / Taki przedmiot powstawał trzy miliardy lat” (*Film – lata sześćdziesiąte*, SP, s. 40). Mit cielesności „jak z obrazka”, uporządkowanej i kontrolowanej, zostaje jednak zakwestionowany, gdy ciało ludzkie przeciwstawione zostaje... cebuli („Ona nie ma wnętrznosci. / Jest sobą na wskroś cebulą do stopnia cebuliczności. / Cebulasta na zewnątrz, / cebulowa do rdzenia / [...] wielokroć naga, / do głębi itympodobna” (*Cebula*, WL, s. 32). W tym zestawieniu człowiek nie przypomina manekina, jego ustrój – mniej już sterylny – nabiera „mięsnosci”: „W nas obczyzna i dzikość / ledwie skórą przykryta, / inferno w nas interny, anatomia gwałtowna / [...] W nas – tłuszczce, nerwy, żyły, / śluzę i sekretności [...] pokrętne jelita” (tamże). Co najważniejsze, w pełni ujawnia się cielesne *vanitas*. Organizm, twór wysoce wadliwy, mający „cienką skórę, a tuż pod nią krew, / spory zasób zębów i paznokci, / kości jego łamliwe, stawy rozciągliwe” (*Tortury*, LM, s. 28), któremu z całą mocą odmówiony jest „idiotyzm doskonałości”, okazuje się w swej nieporadności po prostu ludzki.

Ciało jest nie tylko nieodłączną częścią człowieka, ale staje się czymś bliskim, niezastąpionym. Nie mogłoby być chyba inne, lepsze, gdyż z natury ułomne i nietrwałe doskonale odpowiada naturze istoty ludzkiej. Ta, choć od urodzenia stopniowo ciałem płaci za ciało (czy parafrazując słowa Marii Janion, żyjąc traci ciało), z konieczności przyzwyczajają się do jednorazowości i zniszczalności, akceptuje ograniczenia i do pewnego stopnia zaprzyjaźnia się z cielesnością. Za wymowny przykład poufałości czy nawet wyraz czułości posłużyć może pochwała serca: „Dziękuję ci, serce moje, / że nie marudzisz, że się uwiłjasz / bez pochlebstw, bez nagrody, / z wrodzonej pilności. / Masz siedemdziesiąt zasług na minutę” (*Do serca w niedzielę*, SP, s. 49). Serce – mające w poezji Szyborskiej szczególną, uprzywilejowaną pozycję – z jednej strony personifikowane i traktowane jako koordynator organizmu, z drugiej rozumiane jednak jako tegoż *pars pro toto* – w pewnym sensie nobilituje całość, której jest elementem. Sumienną, rzetelną pracą nadaje ciału niespotykaną dotąd rangę i zjednuje wdzięczność podmiotu, który zaczyna utożsamiać się z własną cielesnością. Ciało, docenione, wyzwala się spod kurateli duszy. Jednostka „nabiera mięsnosci” – mniej eteryczna, ale bardziej rzeczywista, świadoma swoich ułomności, nie postrzega już istnienia wyłącznie przez pryzmat ducha i rozumu, lecz także ciała – bezbronnego i niedoskonałego, a więc stanowiącego właściwą miarę natury ludzkiej.

Cielesność pod kontrolą

Z perspektywy dotychczasowych rozważań cielesność wycierająca z wierszy Szymborskiej wydaje się w znacznej mierze cielesnością uniwersalną, niezróżnicowaną w swych właściwościach, budowie, uformnościach, typową dla każdego i każdej, niezależnie czy „z kółkiem w nosie, w todze, czy w swetrze” (*Sto pociech*, SP, s. 58). Jakkolwiek ciało jako takie stanowi w tej poezji pewien powszechnie zrozumiały model, bazę umożliwiającą nadbudowanie dodatkowych sensów, wypada zastanowić się, z czego wynika owa uniwersalność i czy faktycznie stanowi ona nieodmienną regułę. Zgodnie z wszechobecną w poezji Noblistki pochwałą różnorodności, nieomal w każdym wierszu napotkać można cielesność wysoce zróżnicowaną, dobraną jak gdyby dla zadziwienia i uciechy czytelnika: pękate cielska obok zmizerniałych ciałek, urodą olśniewające, rumiane obok szpetnych i umęczonych, stare i pomarszczone obok radośnie młodych, męskie obok kobiecych, nagle obok upozowanych i kunsztownie przebranych. Choć wielość form jest imponująca, w bezpośredniej lekturze każdorazowo ma się poczucie, iż w istocie są to rozmaite warianty jednej i tej samej cielesności. Skąd zatem bierze się takie wrażenie?

Zwierzęta nawet nie próbują wyglądać inaczej, niż zaplanowała to dla nich natura. Noszą pokornie swoje pancerzyki, łuski, kolce, pióra, kudły i puchy. Świadoma dążność do zmiany swojego wyglądu to cecha wyłącznie ludzka. Nie natrafiono jeszcze na kulturę tak prymitywną, żeby można kategorycznie stwierdzić, że jej twórcy poprzestawali na swojej naturalnej nagości. Zawsze chyba próbowali coś w niej zmienić, coś do niej dodać [...]. Do stroju zaliczyłabym wszelkie tatuaże, nacięcia na skórze, plecionki, pióropusze i różnobarwne malunki na ciałach. Wszystko to oczywiście ma jakieś znaczenie, coś sygnalizuje. Ale jest strojem, nie nagością [...] Owszem, pojawia się ona w wielu okolicznościach, ale jest to nagość zawsze tylko chwilowo z czegoś rozebrana. Na plaży nudyśtów jest się gołasem od – dajmy a to – godziny 8.30 do 19. I to tylko przy sprzyjającej pogodzie” (NLN 60)

– pisze Szymborska w jednym ze swoich miniaturowych felietonów i trudno chyba o lepszy przyczynek do niniejszych rozważań. Tym bardziej, iż w poezji Noblistki prawdziwej nagości jak na lekarstwo. Nagości, trzeba dodać, rozumianej jako zupełna, naturalna, być może nie uświadomiona nawet harmonia człowieka z własnym ciałem. Taki stan sytuowałby istotę ludzką jedynie o szczebel wyżej od zwierząt w drabinie ewolucji. Ciało jawiłoby się jako dopiero przeobrażone, nagle i niespodziewanie uchwycone w gotowej człowieczej formie, stratne o pazury, łuski, sierść, ale straty niepomne, nieświadome jeszcze „nagości”, a więc nie znające wstydu, w locie tylko usiłujące ręką pochwycić utracone pióro. Szymborska nieprzypadkowo przywołuje ludy pierwotne, które choć nie stroniły od nadających ciałom znaczenia rozmaitych ozdób, malunków, przebrań, to jednak żyjąc blisko natury, szanując ją, zdawały się jednocześnie akceptować swe ciała, pozostawać z nimi w zgodzie. Cielesność wraz z całą fizjologią nie była dyskredytowana, nagość była czymś powszednim. Sposoby zdobienia ciał świadczyły

Interpretacje

albo o przynależności do określonej społeczności, albo też spełniały prymarne cele: chroniły przed nieczystymi siłami, warunkami klimatycznymi, stanowiły element kamuflażu, wskazywały na status społeczny. Powszechna tendencja do przekształcania przyrody wedle własnych potrzeb i upodobań, w oczywisty sposób przekłada się też na stosunek do cielesności. Przynależne naturze ciała także podlegają ujarzmieniu i tresurze, pozostając w nieustannej opresji. Zależnie od „mody”, marginalizowane i postrzegane wyłącznie jako niewdzięczne, „niszczące się szybko” (*Wersja wydarzeń*, KP, s. 36) futerały zabezpieczające jakąś „esencję” człowieczeństwa lub też – dla odmiany – hołubione, pielęgnowane z gorliwością zakrawającą na kult, jak gdyby owa istota usytuowana była wyłącznie na powierzchni cielesnej powłoki, podlegając ciągłej kontroli. W rezultacie cielesność nieodmiennie uwikłana jest w rozmaite ideologie, zaprzęgnięta do określonych celów, postrzegana w zależności od zapotrzebowania wyłącznie poprzez opozycje wnętrza i zewnątrz, kultury i natury, ducha i materii. Powstałe między przeciwstawnymi pojęciami pęknięcia w bezpośredni sposób wpływają na ludzkie ciała, „kawałkują” je, pozostawiając nieusuwalne piętno. Stan pełnej równowagi z własnym ciałem, rozumianej nie jako dążność do doskonałej formy i kondycji wypracowywanej na siłowniach i w salonach kosmetycznych, lecz jako akceptacja swego organizmu i zrozumienie mechanizmów nim rządzących wydaje się obecnie układem abstrakcyjnie nieosiągalnym. Ciało w swej naturalnej, nieprzetworzonej postaci nie ma znaczenia, jest nieprzydatne, nie przynosi bowiem żadnych zysków, niczemu nie służy. Dlatego nie może pozostawać nagie, czyli nieokreślone, niepoddane przekształceniom. Nie chodzi tu o nagość pozorną, jedynie „chwilowo z czegoś rozebraną”, gdyż takie epatowanie golizną, szczególnie od jakiegoś czasu popularne, także paradoksalnie jest rodzajem kostiumu i służy ściśle określonym celom. Prawdziwa nagość, bezinteresowna, niczym nieskażona i nieznaną wstydu, jak się okazuje, tak niecodzienna, pojawia się w twórczości polskiej Noblistki dwukrotnie, acz rzecz jasna znacząco: pierwszy raz – w kontekście erotycznym jako wyraz absolutnej bliskości i zaufania: „Oto my, nadzy kochankowie, / piękni dla siebie – a to dosyć – / odziani tylko w listki powiek / leżymy wśród głębokiej nocy” (*Jawność*, WY, s. 21), ponownie – jako określenie nowo narodzonego dziecka.

Moment narodzin zwykle rozumiany jest jako chwilowy stan absolutnej nagości, naturalności i nieokreśloności ludzkiego ciała. Chwilowy, gdyż niemogący oprzeć się zewnętrznym wpływom, stanowiący jedynie pewien potencjał, plastyczną formę, czystą powierzchnię stworzoną jak gdyby specjalnie po to, by nanieść na nią określone znaki. Jak stwierdza autorka *Lektur nadobowiązkowych*: „[Autentycznie nagie] mogły być ewentualnie dopiero co narodzone dzieci. Chociaż i to wątpliwe. Zaopatrywano je przecież co prędzej w jakieś amulety przeciw złym mocom, w jakieś znaki przynależności do grupy” (NLN, s. 60), co sugeruje potrzebę chronienia noworodka nie tylko przed siłami nadprzyrodzonymi, ewentualnie innymi, być może wrogimi społecznościami, ale także przed wspólnotą, w której dziecko zostało zrodzone. Zdaje się tym samym, iż niemowlę, którego ciało nie

Dauksza „Którzyśmy serca swoje jedli i krew swoją pili”

zostałoby odpowiednio oznakowane, zasadniczo różniłoby się od grupy, i być może, nieakceptowane, zostałoby przez nią odrzucone. Co więcej, dziecięctwo jawi się jako jedyny moment sprzyjający formowaniu czy korygowaniu ciała.

Mechanizm ten okazuje się niezwykle bliski przedstawionej w *Mozaike bizantyjskiej* sytuacji lirycznej. Noworodek cesarskiej pary – pyzaty, pulchny i „cielesny” – nie odpowiada ascetycznemu usposobieniu rodziców i nie przystaje do surowości i „oszczędności” epoki. Jak słusznie wskazuje Tadeusz Nyczek, „ideałem filozofii i obyczaju były wówczas – skromność posunięta do wstydlivości, eteryczność cielesna płynąca z umartwienia oraz poszanowanie niewzruszonej hierarchii wartości, na czele której znajdował się Bóg, poniżej władza kościelna i świecka”², a zatem ciało nieumartwione, zdrowe i różowitkie, wykracza poza normy stylu, zwraca uwagę na to, co z całą mocą pomijane. „Grzeszniczka zrodziłam. / Naguśki jak prosiatko, / a tłusty a żwawy, / cały w fałdkach, przegubkach / przytoczył się nam” (*Mozaika bizantyjska*, SP, s. 28) wyznaje nieomalże ze wstydem cesarzowa Teotropia i zaiste trudno w jej słowach dopatrywać się kokieterii. Oto „godziwe dostojęstwo” dworu cesarskiego zostaje podważone. Dziecko, zupełnie niepodobne do wynędzniałych cieleśnie rodziców, burzy ustalony porządek rzeczy, wzbudza powszechne zgorszenie („archimandryty, męża przenikliwej gnozy”, „eremitek, szkielecic świętych”) posunięte tak daleko, iż niepewne wydają się losy nowo narodzonego „diablęcego”. Teotropii i Teodendronowi pozostaje jedynie „błagać dla syneczka litości” i liczyć na „cud metamorfozy”. Choć te pokorne prośby są ostatnimi posłyszonymi słowami cesarskiej pary pospiesznie oddalającej się z mozaiki w głąb bizantyjskiego dworu, można przypuszczać, iż gdyby istniał swoisty „ciąg dalszy” historii prezentowanej przez Szymborską, przestawiałby on rodziców z dumą spoglądających na potomka równie „wąskolicego” i „znikomego”, jak oni, „wybornie umartwionego” (tamże), godnego następcę tronu. „Cud metamorfozy” nie jest bowiem ani przypadkiem, ani łaską wymodloną przez ascetyczne eremitki, lecz obligatoryjnym kształtowaniem usposobień i ciał. Ciało, które albo irytują swą nieokreślonością, a co za tym idzie – nieprzydatnością, albo też, jako niewłaściwie uformowane, rażą i wadzą, gdyż diametralnie różnią się od wypracowanego przez ogół wzorca. Z tej perspektywy *Mozaika bizantyjska* zdaje się nie tylko parodią, lecz także, a może przede wszystkim, preludium rozprawy o kulturowym uwikłaniu cielesności.

W poezji Szymborskiej dość często pojawiają się ciała stanowiące kwintesencję stylu danej epoki. Taka jest znikoma cielesność cesarskiej pary, tak jest też w przypadku „rozdywnionych, nadmiernych” kobiet Rubensa (S, s. 32). Córy baroku „jak łoskot beczek nagie”, majestatyczne zalegają na „stratowanych łóżach”. Są cielesne aż do przesady, można zaryzykować stwierdzenie, iż całe są ciałami, wciąż i wciąż się rozrastającymi. Konsekwentnie zoomorfizowane („żeńska fauna” gnieźdząca się i śpiąca „z otwartymi do piania ustami”) i reifikowane („tłuste dania miłosne”), wskazują nie tylko na specyfikę twórczości barokowego malarza

² T. Nyczek *22 x Szymborska*, a5, Poznań 1997, s. 75.

Interpretacje

i syntetyczną charakterystykę stylu³, ale także ukazują wyraźny wpływ określonych kulturowo wzorców na kształt cielesności.

Szyborska poświęca także uwagę tym, których ciała nie wpisują się w ogólnie przyjęte trendy. Chude kobiety, siostry rubensowskich muz, o „ptasiej naturze stóp i dłoni” zamiast w rozpasaniu gnieździć się we „wrzących alkowach”, próbują ulecieć na „sterczących łopatkach”. Cóż zresztą miałyby czynić, skoro jako odmienne nie mogą cieszyć się powszechnym uznaniem, nie zasługują na poczesne miejsce na obrazie barokowego mistrza. Jak wskazuje poetka, z pewnością „Trzynasty wiek dałby im złote tło. / Dwudziesty – dałby ekran srebrny. / Ten siedemnasty nic dla płaskich nie ma”. „Wygnaniki stylu” stają tym samym po stronie wszystkich tych, którym za niedopasowanie do obowiązujących norm przychodzi zapłacić wysoką cenę. Lekceważeni, czasami wzgardzeni i wykluczeni, gęsiego schodzą „po nie zamalowanej stronie płótna” (*Kobiety Rubensa*, S, s. 32), by raz na zawsze zniknąć w mrokach zapomnienia. Podobny los spotyka także innych „odmieńców”, znacząco nieobecnych na *Miniaturze średniowiecznej*: „Na przedzie xiążę / najpochlebniej niebrzuchaty, przy xiążęciu xiężna pani / cudnie młoda, młodzusienska. / Za nimi kilka dworek / jak malowane zaiste / i paż najpachołętszy [...] Kto zasię smutny, strudzony, / z dziurą na łokciu i z zezem, / tego najwyraźniej brak” (*Miniatura średniowieczna*, WL, s. 21). Staje się jasne, iż odrzucenie nie jest jedyną formą karania odmienności. Znacznie dotkliwsze okazuje się bowiem konsekwentne ignorowanie i marginalizowanie.

„Pokaż mi swoje wszystko jedno co, / a powiem ci kim byłeś. [...] Rozsypane palce. / Może być nawet mniej i jeszcze mniej / [...] zajrzę do gardła twojemu milczeniu, / jakie miałeś widoki, / wyczytam z oczodołu, / przypomnę ci z drobnymi szczegółami, / na co czekałeś w życiu oprócz śmierci. / Pokaż mi swoje nic, / które po tobie zostało, / a złożę z tego las i autostradę, / lotnisko, podłóż, / czułość / i przepadły dom. [...] Mnie wystarczy w tym celu / twoja warstwa ziemi / i od dawna pradawna zwierzęła swąd spalenizny” (*Archeologia*, LM, s. 9) – namawia w wierszu Szyborskiej upersonifikowana archeologia („No cóż, biedny człowieku / [...] Minęły tysiąclecia, / odkąd nazwałeś mnie archeologią”). I do prawdy trudno nie odnieść tych słów do wyводу Michela Foucaulta: „Ciało pozostaje zawsze obłązione, cierpiąc destrukcję ze strony samych kategorii dziejowych. Historia stanowi owo tworzenie wartości i znaczeń poprzez praktykę znaczącą, wymagającą poddaństwa ciała. Ta destrukcja cielesna jest niezbędna, by wytworzyć podmiot wraz z jego znaczeniami”. Tym samym ciało zostaje jednoznacznie określone jako „zapisana powierzchnia zdarzeń”. Co jednak najważniejsze, zarówno u Szyborskiej, jak u i Foucaulta, jest to zawsze cielesność zdewastowana, na której „totalnie odcisnęła się historia”⁴. Cywilizacja, kultura

³ Por. M. Czermińska *Ekfrazy w poezji Wisławy Szyborskiej*, „Teksty Drugie” 2003 nr 2/3.

⁴ Cyt. za J. Butler *Zapisy na ciele, wywrotowe odgrywanie*, w: *Teorie literatury XX wieku. Antologia*, red. A. Burzyńska, M.P. Markowski, Znak, Kraków 2006, s. 516.

Dauksza „Którzyśmy serca swoje jedli i krew swoją pili”

są w tym porządku synonimami represji. Ciało jest biernym nośnikiem znaków zapisywanych przez historię.

W swej głośnej pracy *Nadzorować i karać*⁵ ukazuje także Foucault niezwykle interesujący i przydatny schemat cielesnej podatności. Przedstawiając XVIII-wieczne mechanizmy władzy, zauważa, iż właśnie w dobie klasycznej nastąpiło apogeum zainteresowania korporalnością – zarówno tą anatomiczno-metafizyczną, jak i techno-polityczną. Tym samym ustanowiono trwałe rozróżnienie na dające się analizować ciało inteligibilne i poddawane manipulacjom ciało użyteczne. To drugie opisywane jest jako łatwe do podporządkowania, używania, przekształcania i doskonalenia, uwikłane w sieć przymusów, zakazów i zobowiązań. Metoda wypracowana przez Foucaulta okazuje się inspirująca między innymi dla Zygmunta Bauma⁶, który analizując cielesne oblicza nowoczesności, wyróżnia jako najbardziej charakterystyczne silne, krzepkie, zwinne i przede wszystkim użyteczne ciała robotnika i żołnierza. Jak jednak wskazuje Bauman, owi „dostarczyciele dóbr” okazali się nieprzydatni wobec wzrastającego postępu technicznego. Powoli następowoła przejście od wytwórców do konsumentów. Miarą wartości ciała – zamiast zdolności do pracy – stawała się zdolność do „wchłaniania i asymilowania tego, co społeczeństwo konsumpcyjne ma do zaoferowania”⁷.

Obecnie najbardziej liczy się otwartość na przeżycia, maksymalne absorbowanie wrażeń, pławienie się w radości i ekstazie. Skoro zatem ciało jest głównym narzędziem umożliwiającym odczuwanie przyjemności, pojawia się także potrzeba – czasami urastająca niemal do szaleństwa – dbałości o sprawność organizmu. Do niej właśnie ironicznie odnosi się w swej twórczości Szymborska. Za przypadek skrajnej tresury ciała uznaje poetka kulturystykę, czego świadectwo odnaleźć można w *Konkursie piękności męskiej*: „Od szczęk do pięty wszedł napięty. / Oliwne na nim firmamenty. / Ten tylko może być wybrany, / kto jest jak strucla zasupłany. [...] Rozkroku mistrz i przykucania. / Brzuch ma w dwudziestu pięciu minach. / Biją mu brawo, on się kłania / na odpowiednich witaminach” (*Konkurs piękności męskiej*, S, s. 36). Ciało sprowadzone wyłącznie do mięśni, przyuczone do posłuszeństwa i wspaniałej prezencji, w istocie zdehumanizowane, przypomina raczej bezmyślny automat niż zrównoważony organizm sportowca. Jednak, jak wskazuje poetka, nie tylko etatowi siłacze otaczają swe ciała ścisłą kontrolą.

Sto minut dla własnej urody? [...] wcale tu o żadne sto minut nie chodzi. Chodzi o dwadzieścia cztery godziny na dobę. Myśl o własnym wyglądzie nie powinna cię opuszczać nawet wtedy, gdy myślisz o czymś innym. Chodząc, powinnaś stale uważać, jak chodzisz, siedząc, jak siedzisz, i leżąc, jak leżysz. Nawet stojąc w kolejce, kochanie, musisz stać z korzyścią dla zdrowia i urody [...] Pożądane jest również, abyś „w każdej wolnej chwili”

⁵ M. Foucault *Nadzorować i karać*, przekł. i posł. T. Komendant, Aletheia–Spacja, Warszawa 1993.

⁶ Z. Bauman *Ponowoczesne przygody ciała*, w: tegoż *Ciało i przemoc w obliczu ponowoczesności*, Wydawnictwo UMK, Toruń 1995, s. 67-109.

⁷ Tamże, s. 90.

Interpretacje

ćwiczyła mięśnie szyi przez bezgłośnie, ale za to wyraziste otwieranie ust, tak jakbyś wymawiała samogłoski o, u, i (LN, s. 155)

– wszystkim kobietom radzi z przymrużeniem oka Szymborska w jednym ze swych felietonów. Mimo ironicznej wymowy jest w owych poradach coś zgoła niepokojącego. Kontrola samej siebie przybiera bowiem formę permanentnej inwigilacji i w swej istocie bliska jest idei panoptyzmu. Na zasadniczą różnicę wskazuje Bauman, podkreślając, iż ciało więzione w panoptikonie stanowiło przede wszystkim własność polityczną, obecnie natomiast jest wyłącznie własnością prywatną. Właściciela przyrównuje uczony do ogrodnika uprawiającego kawałek ziemi. Ogrodnika, który znalazł się w nie lada tarapatach – „jest przecież ogrodem i ogrodnikiem naraz. Ma on to, co się dzieje, kontrolować – ale to on właśnie ma być przez tę kontrolę kontrolowany. [...] W rezultacie, trzeba być w środku i na zewnątrz w tym samym czasie”⁸. Nieuniknione staje się swoiste rozdwojenie, poczucie dezintegracji, wrażenie bycia uwięzionym we własnym ciele, o którym Szymborska stwierdza: „Jestem pułapką w pułapce, / zamieszkiwanym mieszkańcem, / obejmowanym objęciem, / pytaniem w odpowiedzi na pytanie” (*Niebo*, KP, s. 5). Ludzki organizm przyrównany do zwierzęcego okazuje się zawodny, gdyż nie pozwala przekroczyć samego siebie („Wielkie to szczęście / [...] Unieść się ponad ciało, które niczego tak dobrze nie umie, / jak ograniczać / i stwarzać trudności”) (*Wielkie to szczęście*, KP, s. 40), zaś ciało spętane kaprysami władzy w oczywisty sposób podlega ciągłej cenzurze. Posiada jednak pewien margines swobody. Tymczasem ciało kontrolowane i kontrolujące, nieustannie obserwowane i analizowane, pozostaje w ciągłej opresji. Nie może być bardziej wnikliwego i surowego nadzorca nad tego, który należycie dopilnowawszy swej sprawy, czerpie wymierne korzyści. Nie bez powodu panowanie nad własnym ciałem jest nieodzowną częścią Goffmanowskiego „teatru życia codziennego”⁹ – przynosi wszakże określone zyski w tabuistycznym społeczeństwie, w którym powściągnąć, zahamować i ukryć to tylko podstawa strategii. W efekcie, paradoksalnie, bezmiar wolności uzyskany przed indywidualnego człowieka przeradza się w jarzmo, z którego nie sposób się wyswobodzić. Jak można bowiem porzucić siebie samego? Ustawiczny autonadzór wraz ze wszystkimi konsekwencjami przypomina oświeceniowy ideał permanentnej inwigilacji z tą jednak różnicą, iż współcześnie istota ludzka sama sobie wypracowuje prywatny panoptikon. Nic więc dziwnego, iż personie lirycznej jednego z wierszy Szymborskiej towarzyszą podobne wątpliwości: „Może to wszystko / dzieje się w laboratorium? / Pod jedną lampą w dzień / i miliardami w nocy? / Może jesteśmy pokolenia próbne? / Przesypywani z naczynia w naczynie, / potrząsani w retortach, / obserwowani czymś więcej niż okiem, / każdy z osobna / brany na koniec w szczypczyki?” (*Może to wszystko*, KP, s. 30).

⁸ Tamże, s. 94.

⁹ E. Goffman *Człowiek w teatrze życia codziennego*, oprac. i wstęp J. Szacki, przeł. H. Datner-Śpiewak i P. Śpiewak, KR, Warszawa 2000.

Dauksza „Którzyśmy serca swoje jedli i krew swoją pili”

Można chyba stwierdzić, iż Szymborska jako „poetka ciała” mimo narzekań na zawodną naturę cielesności w istocie ma doń, choć nie pozbawione ironicznego dystansu, wyłącznie przyjazne uczucia. Wyrosłe z ewolucji słabe, rozczarowujące, pojedyncze ciało „nieprzemienne w nic” czyni na nowo zróżnicowanym, wielopostaciowym, pociągającym. W poszukiwaniu tej niepowtarzalności poetka z hobbystycznym zapałem odbywa rozmaite wędrówki w czasie i przestrzeni, a rzetelne analizy odnalezionych świadectw przynoszą wymierne rezultaty – jej poezja przypomina bogatą galerię osobliwości, w której obok anatomicznych modeli, zakonserwowanych preparatów, znaleźć można wizerunki ciała cierpiącego, kulturowo uwikłanego. Wnikanie w miąższ ciała poprzez pęknięcia osłon kulturowych jest próbą dotarcia do rdzenia człowieczeństwa¹⁰. W poezji Szymborskiej ucieleśniona persona pozostająca zwykle w postawie skulonej, embrionalnej, gotująca się do przyjęcia kolejnego ciosu, jawi się jako wewnętrznie rozdarta, bezbronna, przepełniona tęsknotą do powrotu w „obronną ciemność” (*Powroty*, WW, s. 20).

Cielesność, której niniejsze studium częściowo jedynie oddaje złożoność, pozwala dostrzec w pisarstwie Noblistki obraz świata naznaczonego zniszczeniem. Tak jak zróżnicowana jest w swej istocie *soma*, tak różnorodna wydaje się poezja, której „znaki szczególne / to zachwyty i rozpacz” (*Niebo*, KP, s. 5).

Abstract

Agnieszka DAUKSZA
Jagiellonian University (Kraków)

“We Who Have Eaten our Hearts and Drunk our Blood.” Carnality in Wisława Szymborska’s Output

An attempt at outlining a corporeality concept inherent in Wisława Szymborska’s poetic works and feature articles, this essay deals with defective human body that is straitened as part of the evolutionary process; it is juxtaposed with an animal body of limitless opportunities. Effects of stigmatising corporeality with signs of cultural belonging and mechanisms of exclusion of bodies unable to become part of generally accepted standards are discussed. At last, an opportunity is shown for transgressing the dualist cognitive model through affirmation of carnality as such; with all its drawbacks, it most fully corresponds with the imperfect human being.

¹⁰ Por. D. Szczukowski *Tadeusz Różewicz wobec niewyraźnego*, Universitas, Kraków 2008, s. 59.